ROK VI. Chicago, dnia 14 go Czerwca, 1888. **No. 24**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: | All comunications must be adressed: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 14 Czerwca	Bazylego W. bisk. wyz.	Przedzimir bł.
Piątek, 15 czerwca	Wita i Modesta męcz.	Wit św.
Sobota, 16 czerwca	Serca Jezusa. Justyny pan.	Budzimir.
Niedziela, 17 czerwca	4ta po Ziel. Sw. Adolfa b. i B	Drogomysł.
Poniedziałek, 18 czerwca	Marka i Marcelina	Długosław.
Wtorek, 19 czerwca	Gierwazego ł Protazego.	Borzysław.
Sroda, 20 czerwca	Reginy panny.	Bogna św.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ IV-tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Łukasza w rozdz. V. od w. 1 *do* 12.

Onego czasu, gdy rzesze nalegały na Jezusa, aby słuchały słowa Bożego, a On stał wedle jeziora Genezaret, ujrzał dwie łodzie stojące przy jeziorze: a rybacy wyszli byli i płukali sieci. A wszedłszy w jednę łódź, która była Szymonowa, prosił go, aby maluczko odjechał od ziemi, i wsiadłszy, uczył rzesze z łodzi. A gdy przestał mówić, rzekł do Szymona: Zajedź na głębie, i zapuść sieci na połów. A Szymon odpowiedziawszy, rzekł Mu: Nauczycielu! przez całą noc pracując nic nie ułowiliśmy, wszakże na słowo Twoje zapuszczę sieć. A gdy to uczynili, zagarnęli ryb mnóstwo tak wielkie, iż się sieć rwała. I skinęli na towarzyszów, co byli w drugiej łodzi, aby przybyli i ratowali je. A przybywszy napełnili obie łodzie, tak iż się mało nie zanurzały. Co widząc Szymon Piotr upadł u kolan Jezusowych, mówiąc: Wynijdź ode mnie, bom jest człowiek grzeszny, Panie! Albowiem go zdumienie było ogarnęło, i wszystkich co przy nim byli z połowu ryb, które pojmali. Także też Jakóba i Jana synów Zebedeuszowych, którzy byli towarzysze Szymonowi. I rzekł Jezus do Szymona: Nie bój się, odtąd już ludzi łowić będziesz! A wyciągnąwszy łodzie na ziemię, wszystko opuściwszy, szli za Nim.

Leki na strachy śmiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

(Ciąg dalszy.)

Pomyśl sobie teraz, że owi ludzie, którzy tak niemiłosiernie chore twe dziecko wyrzucili z swego domu, przychodzą po niejakim czasie w odwiedziny do ciebie, i jak gdyby nigdy nic nie zaszło, po ludzku się witają z tobą, i przytem serdecznie się uśmiechając i kładąc rękę na serce, zapewniają cię na uczciwość, że i oni wielki szacunek i miłość ku tobie czują i ściskaliby ci ręce i chcieliby u ciebie się rozgościć czyżbyś nie skrzywił się na to i nie zabierał do kopnięcia ich nogą i do wyrzucenia ich za drzwi? W ten sam sposób Bóg z tobą postąpi, kiedy staniesz przed Nim po śmierci, jeśli tutaj na ziemi, niemiłosiernieś się obchodził z jego dziećmi. Prawda, że cię Bóg nie kopnie nogą i też za drzwi nieba cię nie wyrzuci, bo ty wcale tam się nie dostaniesz, ale, co wszystko na jedno wychodzi, będzie ci się zdawało, jakoby Bóg bardzo groźną twarz przybrał na ciebie i tak okropnie ci będzie, jak Żydom przy górze Synai było, kiedy widzieli kurzącą się górę i błyskawice i grzmot słyszeli, i Bóg do ciebie, jako w grzmocie, przemówi temi słowy, które ci tu wypiszę, boć z własnych ust Jego pochodzą, „Precz odemnie, przeklęty, w ogień wieczny, który zgotowany jest djabłu i aniołom jego; albowiem łaknąłem, a nie dałeś mi jeść; byłem gościem a nie przyjąłeś mnie, byłem nagim a nie przyodziałeś mnie.“ Wtedy powiesz: „Panie, kiedyżem cię widział łaknącym albo pragnącym, albo gościem, albo nagim, albo niemocnym: a nie służyłem tobie?“ Tedy ci odpowie Pan, mówiąc: „Zaprawdę powiadam ci: pókiżeś nie uczynił jednemu z tych najmniejszych, aniś mnie nie uczynił,“ — i na tem się skończy. I ty musisz pójść na męki wieczne które są zgotowane djabłu i aniołom jego. Jeśli mi nie chcesz wierzyć, że na sądzie ostatecznym taką sprawiedliwość ci wymierzy P. Jezus, to zobacz sobie w Piśmie św. Znajdziesz to w ewangelii św. Mateusza, w rozdziale 25 od 41 wiersza poczynając.

Więc ci teraz daję dobrą radę: kiedy pójdziesz jutro albo w niedzielę na Mszą św., to bij się znowu w piersi przy Podniesieniu; mów znowu te słowa. O Jezu, dla ciebie chcę żyć i umierać i t. d. Ale staraj się wprzód, to jest, przed Podniesieniem o to, abyś te słowa mógł mówić z szczerością serca i z dobrem sumieniem, żeby się dusza twoja nie zarumieniła na twoje kłamstwo, staraj się o to, abyś wprzód dla miłości P. Jezusa powziął serdeczną miłość do każdego człowieka, do twych krewnych, do twych sąsiadów i do twych nieprzyjaciół. Jakby to zbawiennie dla ciebie było, gdybyś za każdą razą przed Podniesieniem, wziął sobie do serca słowa, które wyrzekł Pan Jezus przy ustanowieniu ofiary najświętszej Mszy ś.: „Nowe przykazanie daję wam, abyście się wzajemnie miłowali, jakem ja was miłował.“ I kiedy te słowa dobrze rozważysz, to wszystkim twoim znajomym daj w duchu pocałunek pokoju. Czyń to zaś zawsze podczas każdej Mszy św., i zastanawiaj się nad tem, a ręczę, ci, że ci to wyjdzie na pożytek i zbawienie duszy twojej. Lecz żeby ci ten artykuł wiary o miłości bliźniego nie wywietrzał wśród gwaru i swarów życia, to ci go gwoździem, to się ma znaczyć, krótką historyjką, do serca, i do głowy przybiję. Najpierw muszę ci oświadczyć, że co ci teraz opowiem. jest szczerą prawdą, a nie żadnym wymysłem. Mam tu na myśli testament ś. Jana. Uważajno teraz dobrze. Wszyscy Apostołowie zostali zamęczeni, z wyjątkiem, jak ci pewnie wiadomo, Judasza, który się sam powrozem zamęczył na drzewie, i stał się męczennikiem djabła, i z wyjątkiem ś. Jana. Ten ś. Jan bardzo się zestarzał i był w greckiem mieście, co się zowie Efez, Biskupem. A chociaż był słaby na nogi i piersi, to jednak nie dosiedział w domu. Bo widzisz, kto ma Ducha ś. w sobie, ten nie może siedzieć spokojnie i nic nie robić; taki nie chce, aby reszta sił uleciała, jak dym bez pożytku, ale pragnie ich używać na chwałę Bogu i dobro bliźnich dopóki tylko może, i myśli, iż na odpoczynek wiele jeszcze będzie czasu w grobie. Więc prowadzę do tego, że ten ś. Jan kazał się zanosić co niedzielę i święto do kościoła, aby tam się wspólnie pomodlić i swym owieczkom powiedzieć

kazanie. Możesz sobie wystawić, jak cichuteńko i uważnie wszystko słuchało, kiedy ten sędziwy Kapłan i Apostół, ten wierny i serdeczny przyjaciel i ulubieniec P. Jezusa usta otworzył i począł prawić kazanie. Nie prawda, tybyś też z pewnością był bardzo pilnie słuchał? Wiesz co, bracie, to całe kazanie ś. Jana, słowo w słowo, jak je stary ojciec kościoła ś. Hieronim wypisał, ja ci tu wydrukuję. Na polskie tak się czyta: „Dziateczki, miłujcie się wzajemnie!“ I oto już po kazaniu. Tyś pewnie myślał, że to dopiero początek, a tu już koniec. A co? tak krótkiego kazania pewnieś jeszcze nie słyszał. I co też mówili ludzie na to? pytasz się. Oto ludzie mówili między sobą: trzeba mieć wzgląd na tak słabiuchnego staruszka; i podobało im się to krótkie kazanie. Na drugi raz, znowu im to samo prawił. Ni mniej, ni więcej, jeno te 4 słowa: „Dziateczki, miłujcie się wzajemnie!“ Ludzie znów pomyśleli sobie: to nic nie szkodzi, że się jeszcze raz to samo słyszy. Kiedy po 3 raz usłyszeli to samo, ten i ów mówił już sobie: ten staruszek zapewne zapomniał, że to samo już parę razy powiedział. Lecz Jan ś. prawił im to samo czwarty, 7, 9 raz; zawsze im to samo powtarzał: „Dziateczki miłujcie się wzajemnie! Teraz już pewnie wszystkim było za wiele, ciągle to samo słyszeć, więc niektórzy, wiedząc, że ś. Jan ani krzty nie był dumny i wyniosły i że nie rozgniewa się na pytanie pokorne, więc wprost mu w oczy powiedzieli, czemu on to ciągle jedno i to samo prawi, i ich do miłości zachęca. Na to odpowiedział im Apostół i Ewangelista tak: „Dla tego ciągle wam to prawię, bo mi tak Mistrz mój, P. Jezus polecił i nakazał: Jeśli to wypełnicie, to jest, jeśli siebie nawzajem miłować będziecie, to wystarczy.“ Amen. Ciąg dalszy nastąpi.

RÓŻA LEŚNA.

Powiastka z życia Indyan amerykańskich.

—Hej! Bobie, wygrana nasza! Tu właśnie nasz misio wygramolił się z wody! Slad jeszcze całkiem świeży, bo nawet

woda nie całkiem wyschła. W kwadrans, jak sądzę, dogonimy misia!

Dwóch traperów (myśliwców), jeden podeszły, siwowłosy, z drugim jeszcze młodocianym towarzyszem, przebyli właśnie we węższem i mielszem miejscu jakąś rzekę wpływającą do Rio Grande del Norte, biegnąc za tropem niedźwiedzim widnym wyraźnie na piasku.

Właśnie pięli się pod strome wybrzeże, kiedy młodzieniec odezwał się, jak powyżej.

Żeby tylko twoja niecierpliwość nie zrobiła ci zawodu, Karolu, — zauważył stary traper, — taki grydzli nie da się tak łatwo dogonić, a tem mniej ubić. Wprawdzie jest to pierwszy szary niedźwiedź, którego zamierzasz ubić, a na mem pierwszem polowaniu na grydzla — już to temu wiele lat, byłem tak samo wzburzonym i gorącym.

— Acha! — zaśmiał się Karól, — widzisz! jakto starzy burczą na młodzież, a sami zapominają, że dawniej nie lepiej robili.

Już dobrze, już dobrze, — odparł dobrodusznie stary, i wyprostował swą niewielką, ale krępą postać — ale w czasie polowania na szarego niedźwiedzia trzeba gorączkę hamować, ile się da. Tu trzeba mieć pewną rękę i zimną krew, bo grydzli, to bardzo niebezpieczne zwierzę. Nawet jaguar nie jest tak silnym i dzikim jak niedźwiedź, a jeźli go pierwsza kula nie trafi od razu w oko lub serce, to nie ryzykowałbym skóry oposuma za życie strzelca.

Pewnieś Bobie miał wielki strach, gdyś poraz pierwszy starł się ze szarym niedźwiedziem.

— Strach?—zawołał zagadniony na pół ze zdziwieniem, na pół ze śmiechem, — strach? Nie, mój kochany, jam strachu nie miał, kiedym chciał wybrać raz młode jaguary, a samica zdybała mnie w jaskini; ja nie miałem strachu, kiedy mnie Indyanie Komansze przywiązali do pala i czerwonoskórzy już się zabierali uczynienia z mego ciała strzałami swemi rzeszota... Ale widzę, — dodał nibyto z gniewem, podczas gdy w twarzy jego malowało się zadowolnienie z gorączki Karóla, — widzę, że młodzieży nie opłaci się dawać nauk.

Więc według umowy pozostawiam ci pierwszy strzał. Na każdy przypadek Bob zatrzyma w lufie kulę, która w stósownym czasie celu swego poszuka, bo nie byłby pierwszy grydzli, którego Bob by ustrzelił.

Było to w południowej stronie gór skalistych, które do zatoki meksykańskiej wpadający Rio Grande przecina, na granicy obszarów zamieszkiwanych przez Indyan Apachów i Komanszów. W tę dziką okolicę, gdzie jeszcze silny grydzli ugania się za jeleniami, a Indyanie walczą z jaguarami i bawołami, zapuścili się nasi traperzy, aby oddać się myśliwstwu, ile serce raczy.

Idąc za tropem dostali się myśliwcy z brzegu przez skaliste parowy na miejsce zarosłe sosnami i dębami. Nie było tu żadnej trawki, tylko mchy i pleśnie pokrywały skały i odziemki drzew.

Wprawne oko myśliwców łatwo umiało wyszukać trop niedźwiedzia na miękkim mchu, biegli więc szerokiemi krokami za olbrzymem lasów. Chęć polowania napełniała obydwóch jednakowo, gdyż i oczy podeszłego Boba lśniły się z ukontentowania i radości w nadziei awantury. Obaj milczeli, lecz tem pilniej śledzili za tropem i zapuszczali wzrok w okolicę, badając, czy im nie ukaże się zwierz, za którego śladem już postępują od samego rana.

— Pohkberry! — krzyknął nagle Karól z radością, — teraz naszego misia dognamy niebawem.

Niedźwiedzie, nie wyjmując szarego niedźwiedzia, zwanego z indyańska grydzli, lubią bardzo owoce i jagody. Najlepszym jednakże ich przysmakiem są jagody będące owocem nizkich krzewin, zwanych z angielska pohkberry.

Właśnie myśliwcy doszli do zagaju takich krzewin. Pokrywały one kawał ziemi objętości jednej morgi, tworząc małą dolinkę, i tam w cieniu rozłożystych dębów rozwijały się wązkim pasem w przytykającym lesie. Okryte były bardzo obficie soczystemi jagodami.

— Masz prawdę, Karólu, — potwierdził uradowany także Bob, — tu, jak się zdaje, nasz misio grydzli popasał. Patrzno, jak on to w krzewinie dokazywał.

Trop niedźwiedzia prowadził prosto na krzaki, przez które ogromny zwierz torując tędy drogę, zrobił sobie szeroki trakt. W samej rzeczy słodkie jagody musiały go tu czas niejaki wstrzymać, czego dowodem były wielkie spustoszenia, jakie porobił w krzewinie. Ponieważ niedźwiedziowi wyszukiwanie pojedyńczych jagód było zapewne za nudnem, przeto łapami swemi całe krzaki połamał i objadł je nie tylko z jagód, ale i z liści. Nie wiadomo, czy to, że się już najadł, czy też spłoszyło go zbliżanie się pogoni, dość, że poszedł sobie dalej przez krzewinę.

W milczeniu, ale z błyszczącemi oczyma, odciągnął Bob kurek u sztućca, i z coraz więcej rosnącem zajęciem udali się myśliwcy dalej w pogoń. Wreszcie dostali się na miejsce całkowicie jagodową krzewiną zarosłe, a którędy niedźwiedź przechodził.

Naraz Bob przystanął i uchwycił towarzysza za ramię.

— Tam z drugiej strony znajduje się niedźwiedź, — szepnął i wskazał w bok na krzewy, — słyszałem łamanie gałęzi.

W tej chwili też szum, po którym trzask łamanych gałęzi nastąpił, potwierdził słowa Boba.

Z bijącem sercem, pewni skutku, wsunęli się ostróżnie Bob z Karólem w gęstwinę, aby dotrzeć do miejsca, gdzie się niedźwiedź znajduje. Ledwie uszli pięćdziesiąt kroków, gdy ujrzeli w zagłębieniu o dwieście kroków od nich, jak się gałęzie poruszały.

— Ot! tam, tam! — krzyknął zapominając się Karól, — tam jest niedźwiedź! biegnie teraz pod górę. Dalej naprzód! za minutę musimy go dognać, jeźli nie chcemy, aby nam uszedł.

Lecz z pomiędzy porozrywanych krzaków wypadł ogromny szary niedźwiedź, wielkości bawołu, i wprawdzie niezgrabnym, ale szybkim kłusem wbiegł na wzgórze, i nim myśliwi zdołali się przedrzeć przez gęstwinę, wpadł pomiędzy sosny i zniknął im z oczu.

— Uważasz, — rzekł teraz Bob, odszukawszy znowu ślad, — że ściganie szarego niedźwiedzia nie jest tak łatwem,

jak sobie to wystawiałeś. Taki grydzli jest bardzo wytrwałym, i pomimo jego niezgrabnych ruchów, przetrzyma trzy konie. Już nieraz scigałem go całemi dniami, a w końcu go jednak nie doścignąłem... Oczywiście, — dodał po chwili, — co innego, jeźli go się uda zranić, bo wtedy nie myśli on o ucieczce, tylko zwraca się ku temu, kto go ranił, a wtedy biada myśliwemu, jeźli jego kula chybi.

Tak mówiąc, biegł szybko przez gęstwinę sosnową, a Karól tuż przy jego boku. Wprawdzie niedźwiedzia dojrzeć nie mogli, jednakże całkiem świeży trop wskazywał im wyraźnie drogę. Lecz już po kilku minutach przekonali się, że niedźwiedź zwrócił się znowu do wody.

— Widoczna, — rzekł teraz Bob, — że bez kąpieli dla nas się nie obejdzie, jeźli go mamy dalej...

Nie dokończył, bo w tej chwili ryki i parskania niedźwiedzia, pomięszane z przeraźliwym krzykiem ludzkim, doszły ich uszu.

— Na Boga! — krzyknął przerażony Karól, — życie ludzkie w niebezpieczeństwie! Któż mógł się odważyć wejść w drogę dzikiej bestyi?

I nie czekając dłużej, z odwiedzionym kurkiem w szybkich podskokach pobiegł w stronę, zkąd go doszedł okrzyk trwogi. Trochę wolniej biegł za nim podeszły Bob, gdyż nogi jego nogom Karóla sprostać nie zdołały.

Najprzód musieli przebiedz przez gęstą krzewinę, potem przez las dębowy, a wreszcie wyszli na polanę półkolistą, przytykającą bezpośrednio do wody.

Tu oczom traperów przedstawił się przerażający widok.

Bezpośrednio przy brzegu na sterczącej z wody skale, stało indyańskie dziewczę, trzymając w ręku tomahawk (topór), którym chciało się bronić nacierającemu niedźwiedziowi, stojącemu na tylnych łapach we wodzie.

Jeden rzut oka wytłumaczył myśliwcom wszystko. Z brunatnego mchu wyglądał czerwony pokrowiec prześlicznych poziomek. Dziewczę bezwątpienia przybyło tu je zbierać i zostało napadnięte przez rozjadły potwór.

Pomoc nadeszła w sam czas, gdyż niedźwiedź wcale nie

uważał na uderzenia tomahawkiem, ale starał się zachwycić dziewczę łapą, co byłoby w momencie nastąpiło, albo byłby też zrzucił je we wodę. Karól bez namysłu krzyknął z całej piersi, a przyłożywszy karabin do ramienia, wystrzelił i ranił niedźwiedzia w łopadkę. Bez dalszego namysłu i nie zważając na ostrzegające wołania Boba, w dwóch skokach spuścił się ze stromego wybrzeża i uderzył na potwora.

Niedźwiedź poczuwszy ranę, zaryczał przeraźliwie i zwrócił się na napastnika. Ten teraz dopiero, kiedy już z niedźwiedziem stanął oko w oko, pomiarkował, że popełnił grubą niedorzeczność, rzucając się na dzikiego potwora z wystrzeloną flintą. Do nabicia, nawet do uskoczenia w tył, już było za późno, a tak więcej mu nic nie pozostawało, jak odwrócić flintę i bronić się kolbą, gdyż nieuźwiedź od niego stał już o dwa tylko kroki.

Z całą siłą, jaką posiadał, wymierzył raz kolbą na łeb niedźwiedzia, lecz ten, jakby uczony robić bronią, szybkością błyskawicy wyrwał mu flintę z ręki i odrzucił łapą na bok, i to tak łatwo, jak słabą trzcinkę. Z przeraźliwym rykiem, z pałającemi oczyma, z podniesionemi wargami, dającemi spojrzeć w paszczę najężoną kłami, rzucił się teraz niedźwiedź na bezbronnego nieprzyjaciela.

Wszystko to trwało ledwo kilka sekund. Karól miał jeszcze do obrony nóż, dla tego chcąc go dobyć, uskoczył nieco w tył, lecz na pochyłości brzegu poślizgnął się i wpadł we wodę. Silny prąd porwał go i uniósł. Było to jego szczęściem, gdyż niepodobieństwem była obrona słabym nożem przeciw potworowi olbrzymiej siły.

Kiedy Bob zobaczył, że Karól po strzale z nienabitą flintą rzucił się na niedźwiedzia, wydał okrzyk ostrzegający. Lecz było to zapóźno. Biegnąc co siły naprzód, widział jak niedźwiedź wyrwał Karólowi flintę i odrzucił ją na bok, oraz widział, że Karól wpadł do wody a niedźwiedź za nim. Przyskoczywszy do brzegu, zobaczył, że jego towarzysz o piętnaście kroków dalej wynurzył się z wody, ale też ujrzał niedźwiedzia ledwo kilka kroków od swej ofiary oddalonego Grydzli bowiem postanowił widocznie ścigać nieprzyjaciela

swego. Był zaś we wodzie zgrabniejszym, aniżeli na lądzie, i pływał jak kaczka.

Bob przyłożył flintę do ramienia, lecz do strzału przyjść nie mógł. Chwiejące się we wodzie cielsko potwora nie dawało mu pewnego celu, wreszcie zagrażało niebezpieczeństwo, że mógłby Karóla trafić.

Na szczęście Karól nie stracił przytomości. Skoro tylko zobaczył niedźwiedzia za sobą, dał zaraz nurka i popłynął w bok gdzie wypłynął na powierzchnię. Mimo tego nie dopiął celu, gdyż niedźwiedź spostrzegł go niebawem i uderzył nań z podwójną wściekłością. Zawsze jednakże zyskał o tyle, że niedźwiedź jeszcze go nie pochwycił. Dla tego manewr ten zaczął powtarzać, w nadziei, że potwór zmęczy się i skłoni do zaniechania pogoni. Lecz w tem bardzo się pomylił, gdyż niedźwiedź okazał tyle zręczności i wytrwałości, że go to przeraziło nie mało.

Bob, który przymusowo stał bezczynny i gonitwie kilka minut się przypatrywał, wszedł aż po pas we wodę, aby pierwszej sposobności do strzału nie pominąć. Z przerażeniem spostrzegł, że towarzysz jego zaczyna słabnąć, co łatwo było poznać z wolniejszych poruszeń, jako też z coraz krótszych chwil, jakie zdołał wytrzymać pod wodą. W każdym razie nadchodziła chwila rozstrzygająca. Postanowił więc w chwili, kiedy Karól będzie pomiędzy nim, a potworem, dać ognia, niech się stanie co chce.

— Tu do mnie! — zakrzyknął więc, aż las ozwał się echem.

Karól posłuszny wezwaniu, dał nurka, żeby niepostrzeżony zbliżyć się do brzegu. Lecz czy to, czy okrzyk Boba niedźwiedzia podrażnił, czy też potwór zmiarkował jego zamysły, dosyć, że zaniechał pogoni, ale nagłym rzutem uderzył na Boba, który ledwo tyle miał czasu, aby z wody wydostać się na ląd. Na nieszczęście i on powalił się na ślizkiem wybrzeżu, właśnie w chwili, kiedy na nie wychodził, ale na szczęście zdołał flintę tak utrzymać że nie puściła. Kiedy się chciał zerwać, już niedźwiedź był przy nim.

Zdawało się, że Bob zgubiony.

Karól w chwili, kiedy potwór zwrócił się na Boba, kilku silnemi poruszeniami ramion dostał się na brzeg i wyskoczył tuż obok niedźwiedzia na ląd. Leżała tam właśnie jego flinta. Szybkością błyskawicy porwawszy ją, bez namysłu rzucił się na niedźwiedzia i wtłoczył mu kolbę w paszczekę. Ten na jedno kłapnienie strzaskał kolbę jak skorupę od jaja, lecz tymczasem Bob zdołał się zerwać i flintę przyłożyć do ramienia. Mierzenie było krótkie, bo ani nie sekundę. Strzał padł, kula przeszyła prawe oko niedźwiedzia i uwięzła w mózgu.

Potwór padł natychmiast trupem.

Kilka chwil stali myśliwi, patrząc to na rozciągnięte zwierzę, to na siebie, a potem zwrócili oczy, gdzie była Indyanka. Lecz ta znikła bez śladu.

— A tośmy mieli awanturę nie lada, — zawołał Bob ze śmiechem, ocierając pot z czoła; — no! myślę, że żeberka niedźwiedzie, dobrze upieczone, nagrodzą nam niegrzeczność pięknej Indyanki, która nawet nam za ocalenie nie podziękowawszy, gdzieś sobie poszła.

Karól nic mu na to nie odpowiedział. W milczeniu pomógł towarzyszowi ściągnąć z niedźwiedzia skórę, a nawet, kiedy soczyste żebra napełniały powietrze wonią, i kiedy Bob je z największym apetytem zajadał, on milczał i nie pokazywał ochoty do jedzenia.

Widocznie, że przypadek z niedźwiedziem bardzo na jego oddziałał usposobienie. Ciąg dalszy nastąpi.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Stolica św. po śmierci Eutychiana przez dziesięć dni była nieobsadzoną; 16go grudnia 283 r. Kajus zasiadł na stolicy Piotra św., pochodził on z Dalmacyi. Papież ten był krewnym cesarza Dyoklecyana, o którym później mówić będziemy. Krótko przed wstąpieniem św. Kajusa na tron papieski widziano na niebie nadzwyczajne znaki, w których

ludzie upatrywali nadzwyczajne zdarzenia mające nastąpić. Od roku 270 widziano na niebie kilka kometów. Umysły były wskutek tego zatrwożone. Rzymski Cesarz Karus prowadził dalej rozpoczętą na początku 284 r. przez Tacyta wojnę przeciwko Persom, posyłał wyśmienite opisy swoich czynów wojennych do senatu, ale wkrótce potem cesarz ten umarł. O jego śmierci przyszła następująca wiadomość do senatu: W dniu bardzo gorącym powstały grzmoty i tak się stało ciemno jak w nocy, błyskawica nieustająca położenie uczyniła jeszcze dokuczliwszem, po bardzo głośnym grzmocie powstał we wojsku wielki krzyk, że Cesarz zabity wkrótce potem jego namiot był w ogniu, któren podpalili jego słudzy. — Teraz synowie tego cesarza Karinus i Numerianus wspólnie zaczęli panować przez senat obrani i uznani przez wojsko. Numerianus, który był przy wojsku zerwał uciążliwą i niebezpieczną wojnę z Persami a Karinus, który podczas tej wojny pozostał był w Rzymie, okazał się jako człowiek głupi i jako tyran. Gdy Numerianus z wojskiem z Persyi aż do Bosforu przybył, zatrzymano się w Chalcedonie a obóz cesarski założono w Heraklei. Wtenczas prefekt pretoryański Arrius Aper rzekł do żołnierzy, że cesarz chory i ogłosił rozkazy fałszywe. Żołnierze cesarza jednak podejrzywali to, gwałtem do namiotu Numeriana weszli i znaleźli cesarza zabitego. Wodzowie wojska mieli potem naradę, po której obwołano Dyoklecyana cesarzem. Stało się to przy końcu kwietnia 284 r. Dyoklecyan rozkazał natychmiast, aby Aper do niego przyszedł i własną ręką go zabił.

Cesarz Karus był chrześcianom przychylny, co z tego wynika, iż uwolnił kościół w Tessalonice od podatków nałożonych, ale syn jego Numerianus skazał wielu chrześcian na śmierć. I tak na jego rozkaz zamordowano małżonków Aryzanta i Darye, kapłana Diodorusa, lektora Maryanusa i wielu innych.

Cesarz Dyoklecyan pochodził z małej miejscowości w Dalmacyi, matka jego nazywała się Dyoklea a on sam nim był cesarzem zwał się Dyokles — później przezwał się

Dyoklecyanem. Tymczasem na zachodzie panował Karynus, który zawojował Dyoklecyana. W Panonii przyszło do bitwy, w której Dyoklecyan zwyciężył Karinusa w r. 285 i podzielił zarząd państwa rzymskiego. Pomiędzy swoimi towarzyszami broni wybrał Maximiana jako współpanującego i oddał mu pod zarząd zachód za stolicą Medyolanu; on sam z Nikomedyi panował na wschodzie. Maximian był to człowiek surowych obyczai i nieubłagany. Obydwaj cesarze przydali sobie przydomki: Dyoklecyan przydał sobie nazwisko Jowisza a Maximian nazwał się Herkulesem.

W r. 292 Dyoklecyan poznał, że dwóch cesarzy nie wystarczyło i każdemu dodał jeszcze pomocnika, któryby był następcą po śmierci jednego z nich. Dla siebie wybrał Galeriusa, który w dzikości przewyższał Maximiana a ostatniemu dał do pomocy Konstancyusza, którego dla jego bladej twarzy nazwano Chlorus. Ten ostatni doznał bardzo dobrego wychowania, był łagodnego charakteru, któren mu zjednał przychylność ludu. Tak rzymskie państwo przez wolę Dyoklecyana miało 4 cesarzy. Przez związki małżeńskie starał się Dyoklecyan tych 4 cesarzy ściśle ze sobą połączyć dając za żonę Galeriusowi swoją własną córkę Waleryę a Konstancyusza zmusił, aby opuścił Helenę żonę swoją, która już była matką Konstantego i aby wziął za żonę córkę Maximiana Teodorę. I tak zanosiło się wskutek tego ukształcenia państwa na zupełne zniszczenie kościoła katolickiego. Usposobienie bowiem trzech cesarzy Dyoklecyana, Maximiana i Galeriusa ku chrześcianom było bardzo nieprzyjazne tak dalece, że Laklancyusz nazwał ich trzema djabłami w ludzkiem ciele. Dyoklecyan miał zamiar chrześciaństwo zupełnie znisczyć i zdaje się, że śmierć męczeńska miała spotkać wszystkich chrześcian w całem państwie razem. Mądrze i z obrachowaniem czekał na chwilę stosowną, o której mniemał, że wtenczas celu swego dopnie i dla tego z początku umiarkowanie chrześcian prześladował. W tym czasie umarł św. Sebastyan męczennik. Ten był oficerem gwardyi Dyoklecyana, był chrześcianem, ale ukrywał przed światem swoją wiarę. — Zdarzyło się, że dwóch braci Mar-

celinus i Markus jako chrześcianie zostali na śmierć skazani i gdy ci zdawali się być słabymi we wierze, Sebastyan ich zachęcał, aby odważnie wytrwali przy wierze katolickiej aż do ostatniej chwili życia i rzeczywiście odnieśli palmę zwycięstwa. O tem dowiedział się cesarz, który kazał Sebastyanowi przyjść do siebie i usłyszał z ust jego wyznanie wiary chrześciańskiej. Cesarz kazał go na śmierć prowadzić, przywiązano go do drzewa i strzałami zabito. W nocy przyszła wdowa chrześciańska Irena, która chciała jego ciało pochować, ale zastała go jeszcze, jak lekko oddychał, odwiązała powrozy, ubrała go i zaprowadziła go potajemnie do swego mieszkania, tam wyleczył się z ran. Widział potem obydwóch cesarzy Dyoklecyana i Maksymiana przechodzących, stanął przed nimi i wyznał wiarę w Jezusa ukrzyżowanego. Dyoklecyan zatrwożył się, bo myślał, że Sebastyan już nie żyje a ten rzekł: Jam jest, ja jestem Sebastyanem i wyrzucał mu jego niesprawiedliwość, ale cesarz kazał, aby go na śmierć biczowano, co też nastąpiło.

CO SIĘ STAŁO W POLSCE.

OD PIERWSZEGO JEJ ROZBIORU, AŻ DO KOŃCA WOJEN ZA CESARZA NAPOLEONA.

Ciąg dalszy.

Polacy pod Jenerałem Dąbrowskim walczą we Włoszech bardzo mężnie, a Francuzi żadnej im obietnicy nie dotrzymują.

Zajechał Dąbrowski szczęśliwie do Włoch, a zaraz też wojsko polskie zaczęło się koło niego zbierać, które to wojsko nazwali Legiony Polskie, a miało na swoich chorągwiach polskie orły z napisem: „Ludzie wolni są sobie braćmi."

Zebrało się to wojsko polskie na same Trzy Króle 1797., a zatem przeszło w dwa lata po wojnie kościuszkowskiej. Zbiegali się do Legionów Polacy, co uszedłszy przed srogością wrogów, tułali słę po obcych krajach, żołnierze, co byli w szeregach ciemiężycieli, uciekali jak mogli, a przedzierali się do Legionów, nakoniec młodzieńcy opuszczając rodziców, krewnych, a nie raz i wielkie majętności, wymykali się do

Legionów. Zaraz też prawie było 5 tysięcy żołnierza, a w niedługim czasie przyrosło go do 8 tysięcy. Znalazł się też i Jenerał Wyszkowski co to niechciał przysięgać Moskwie, i bił się przez długie lata dzielnie w Legionach, aż nakoniec poległ, a imie jego po dziś dzień ludzie ze czcią powtarzają. Wysłano też raraz Legiony na Austryaka, co znowu był naszedł Włochy, bili Polacy jak Bóg przykazał, aniby spisał wszystkich miast i fortec, co Austryakom naodbierali, a zawsze sobie myśleli: że jak oni teraz Francuzom, to potem Francuzi im dopomogą. Ale jakoś wojna się przeciągała, Polakom się do Ojczyzny dłużyło, więc Dąbrowski powiada Jenerałowi Napoleonowi, że Polacy chcą się podemknąć pod Węgierską granicę i przerznąć do Polski. Napoleonowi niekoniecznie to było na rękę, już to, że mu było żal stracić tak bitnego żołnierza, już też, że miarkował iż Austryaka nie długo we Włoszech zbyć, więc się Francuzom chciało i pokoju, a gdyby do Polski puścili Dąbrowskiego, toby się wojna jeszcze przeciągnęła. Odpowiedział więc Napoleon, żeby jeszcze Polacy cierpliwie poczekali, że przecież przyjdzie kolej i na ich Ojczyznę, ale teraz jeszcze nie czas i Polacy bardziejby sobie tem zaszkodzili, niż dopomogli.

Zasmuciła ta odpowiedź Polaków, aleć trudno mur głową przebić: trzeba było czekać. Tymczasem żeby wszystko mieć w pogotowiu, nawet i rząd polski jak wrócą do Ojczyzny, wysłali potajemnie do marszałka Małachowskiego i Ignacego Potockiego i inszych, co zasiadali w sejmie konstytucyjnym, żeby do Włoch przyjechali, tam sejm założyli, i wybrali rząd Polski. Ale ci, których wysłali, nie umieli trzymać języka za zębami, wszystko w drodze wybajali, a rządy ciemiężycieli zaraz tych wszystkich posłów wyłapały i pozamykały do więzień. Już to nie pierwszy i nie ostatni raz w Polsce, ta niewstrzęmięźliwość w gadaniu, tyle złego narobiła.

Źle się też powodziło i Polakom na Turecczyźnie, wpadli oni do Polski, ale ich tam zaraz wygnali, a od tego czasu tak Moskal nastawał na nich u cesarza tureckiego, że ten im nakazał opuścić swoje kraje. Wszyscy też poszli do Legio-

nów, gdzie po tylu bitwach niemało żołnierzy ubyło, bo Francuzi wojowali wtedy po wszystkich końcach świata, a nawet tam za morzem w Egipcie, dokąd to uchodził Św. Józef z Najświętszą Panną i dzieciątkiem Jezus przed okrucieństwem Heroda. Wysłali oni tam okrętami wojsko pod Jenerałem Napoleonem, a jak tylko Autryacy nie czuli Napoleona we Włoszech, to zaraz na kieł brali, nie dotrzymywali pokoju, jak byli przyrzekli, jeno zgromadzili wojska, co mogli i poczęli bić Francuzów. Polacy prawie wszędzie szli na pierwszy ogień, ginęli też nie raz tysiącami, jak to było pod miastem Magnana, gdzie jednego dnia poległo Polaków do 2. tysięcy. Znosili jednak wszystko ochotnie, spodziewając się: że jak oni swoją krwią okupują wolność obcych Narodów, tak przecież te Narody kiedyś przyjdą na pomoc ich uciśnionej Ojczyźnie. Umierali więc Polacy na włoskiej ziemi z gorącej miłości ku ziemi polskiej. Wtenczas to zaczęły Legiony śpiewać tę śliczną i prawdziwą piosneczkę:

Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła, z Bogiem odbierzemy,
Marsz, marsz Dąbrowski, Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem, Złączym się z Narodem.

Roku 1799. Francuzom bez Napoleona, który jeszcze wojował, w Egipcie szło bardzo ciężko, bo znowu wszyscy królowie wielkie wojska gromadzili i prowadzili na rzeczpospolitą. Wyprawił też na nich swoje wojska i car moskiewski pod owym okrutnym Suwarowem, co wyrznął Pragę, i z nim bili się Polacy na włoskiej ziemi po wiele razy. Padali Moskale od polskich kul jak muchy, bo gdzie jeno nasi ich spotkali, bili się do upadłego. Widząc to Francuzcy jenerałowie nie mogli się Polaków dosyć nachwalić, stawiali ich za przykład swoim żołnierzom i mówili: jak się to stało, żeście waszej Polski nie wybili? Ale żołnierz polski bywał w boju nieoledwie codziennie, ubywało go więc nie mało i zaledwie połowa z Legionów została. A do tego doskwierała im też i nędza, gdyż nie mieli, ani żywności, ani odzieży jak należy, bo Francuzi nie płacili im ze swego skarbu żołdu, że to do ich wojska nie należeli. Włochowie dawali im póki mogli, ale potem kraj zniszczony wojną, nie miał i czem płacić.